

**BOLESŁAW
PRUS**

PRZYGODA
STASIA

Bolesław Prus
Przygoda Stasia

«Public Domain»

Prus B.

Przygoda Stasia / B. Prus — «Public Domain»,

Gdzieś na polskiej wsi, w drugiej połowie XIX wieku, żyje niespełna dwuletni Staś i jego rodzice. Spokojne, proste, wiejskie życie przerywa jednak emocjonująca przygoda z chłopcem w roli głównej. Pewnego dnia matka udaje się z synem do młyna — zmęczona przyczepia na chwilę wózek z dzieckiem do wolnego powozu. Nagle powóz przyspiesza i porywa Stasia. Zrozpaczona kobieta prosi o pomoc organistę, z którym rodzina jest w konflikcie. Nowela Bolesława Prusa została opublikowana po raz pierwszy w czasopiśmie „Kłosa” w 1879 roku. Przedstawiona w niej historia to nie tylko obrazek z życia wiejskiej rodziny, ale doskonały pretekst do nakreślenia losów dwóch rodzin i związania ich losów na tle obyczajowości chłopskiej z drugiej połowy XIX wieku. Przygoda Stasia to jedna z wielu krótkich form literackich autorstwa Prusa, w której przedstawia on polską wieś wraz z jej codziennością i problemami.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

11

Bolesław Prus

Przygoda Stasia

Bohaterem opowiadania jest osoba, która ma trochę więcej niż łokieć¹ wzrostu, około trzydziestu funtów² wagi i ledwie od półtora roku odbywa doczesną wędrówkę. Tę klasę obywateli kraju ludzie dorośli przezywają dziećmi i w ogóle nie traktują dość poważnie.

Dlatego z pewną obawą przedstawiam czytelnikom niedużego Stasia i przede wszystkim proszę ich o cierpliwość. Jest to dziecię tak ładne i czyste, że mogłaby je ucałować każda dama używająca czteroguzikowych rękawiczek. Włosy ma lniane, oczy duże, szafirowe, zgrzebną koszulkę i tyle zębów, ile potrzeba do pójścia na własny chleb. Prócz tego posiada on kołyskę, pomalowaną w czarne i zielone kwiaty na żółtym tle, tudzież wózek, którego jedyną wadę stanowi to, że każde koło zdaje się toczyć w innym kierunku.

Czułbym się niepokieszonym, gdyby powyższe zalety nie zdobyły sympatii dla Stasia, który na nieszczęście obok nich nie posiada żadnej niezwykłej cechy. Staś jest dzieckiem legalnym i nie podrzuconym; nie okazuje najmniejszych zdolności do kradzieży lub do gry na jakim instrumencie, a co gorsza – nawet cień głupkowatości nie daje mu prawa do tytułu dobrze urodzonego.

A jednak – jest to dziecię niepospolite; tak przy najmniej twierdzi jego ojciec, Józef Szarak, z profesji³ kowal, jego matka, Małgorzata ze Stawińskich, i dziadek Stawiński, młynarz, nie licząc kumów, przyjaciół i wszystkich osób czcigodnych, które miały możliwość stracić zimną krew przy obchodzie ceremonii chrztu świętego.

Samo urodzenie Stasia zależało od nieprawdopodobnej kombinacji faktów. Najprzód bowiem musiał Pan Bóg stworzyć dwie rodziny: kowali Szaraków i młynarzy Stawińskich; po wtóre – sprawić to, aby jedna z nich miała syna, a druga córkę; a po trzecie – zepsuć we młynie pewną sztukę żelazną i do odkucia jej sprowadzić młodego Szaraka w tej właśnie porze, kiedy serce Małgosi rozwinęło się niby kwiat lilii wodnej na stawie jej ojca. „Istny cud!...” – jak słusznie mawiała stara Grzybina, dzieląca czas pomiędzy zamawianie chorób i zebranie, które to specjalności nadają starkom⁴ wiejskim prawa do rozumienia się na cudach.

Ponieważ według jednozgodnej⁵ opinii kobiet doświadczonych Staś „wdał się” w matkę, ośmielimy się więc jej przede wszystkim poświęcić kilka wyrazów. Jest to tym niezbędniesze, że kowalowa odegra rolę bohaterki w zdarzeniu, które (ze smutkiem wyznajemy) nie będzie ani kryminalnym występkiem, ani romansem wołającym o pomstę do nieba.

Przy grobli, którą tylko w piątej porze roku można przejechać, obok wielkiego stawu, w którym obficie rosły badyle wodne i przeglądał się olszowy gaj, stał młyn. Był to czarny i stary budynek, z oknami o drobnych szybkach i posiadał przy prawym boku dwa ogromne koła, dzięki którym trząsał się i klekotał od lat trzydziestu, sporo grosza napędzając właścicielowi – Stawińskiemu.

Młynarz miał syna i córkę, właśnie Małgosię. Syna posłał w świat, aby zbadał sposoby otrzymywania najdelikatniejszej mąki, a córkę chował przy sobie. Nie brakło jej niczego, bo ojciec ani na szmatki dziewczynie, ani na domowe porządki nie żałował pieniędzy. Brakło jej tylko pieśczot.

Stary nie był złym człeczyną; obejście jednak miał chłodne, odzywał się rzadko a ostro i tonął w interesach. To młynarczyków pilnował, aby zboża ludziom nie kradli, to frasować się⁶ musiał, aby

¹ *łokieć* – daw. jednostka miary długości, dzieląca się na 2 stopy a. 24 cale i wynosząca (przy znacznych różnicach regionalnych) ok. 60 cm. [przypis edytorski]

² *funt* – daw. jednostka wagi, wynosząca 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

³ *profesja* – zawód. [przypis edytorski]

⁴ *starka* (gw.) – stara kobieta, staruszka. [przypis edytorski]

⁵ *jednozgodny* (daw.) – dziś: jednogłośny a. zgodny. [przypis edytorski]

⁶ *frasować się* (daw.) – martwić się. [przypis edytorski]

chrząkającym pod podłogą młyna wieprzkom dziesięcinę z otrąb regularnie odsypywano, to znowu liczył procenta od sum wypożyczonych, odbierał jedne kwoty, a inne w ruch puszczał...

W takich postawiona warunkach Małgosia żyła tylko z naturą, a kochała swój młyn... Kiedy w dzień pracowała w sadzie albo karmiła kury i kaczki wielkie i tłuste, albo pieściła się z krowami, które na głos jej biegły jak psy – młyn szumiał i trajkotał poważne, niesłychane melodie. W jego warkocie odzywały się wszystkie instrumenta⁷: skrzypce, bębny, organy, ale grały coś takiego, czego żadna kapela, żaden by organista nie powtórzył.

Natura wydawała się Małgosi bardzo wielkim jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone po polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się obłokom, co wychodziły spoza czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza – słuchając szumu wiatru, co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny chwiejącej się na bagnie, zapytywała: czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew, i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas, bez żadnego powodu, łzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej, ojciec wychodził z młyna i mówił markotny:

– Co ty wyśpiewujesz, dziewucho?... Dałabyś lepiej spokój, bo się ludzie śmieją!...

Zawstydzona Małgosia milkła, ale za to przyjaciel młyn każdy wyraz jej i każdą nutę powtarzał, tylko że jeszcze składniej i piękniej. I czy podobna było nie kochać go, choć wyglądał jak straszna głowa niebywałego zwierzęcia na kilkunastu nogach osadzona, choć ział z paszczy gorącym i pyłem, a wył i trząsał się, jakby jadących groblą chciał pogruchotać ogromnymi kłami.

We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na śliskie koła. Wówczas, jeżeli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i płynęła het! na ogromny staw, skąd tylko było widać wierzchy młyna.

Tu, zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby okrągłookie, przysłuchiwała się szelestom tataraku na kępach, krzykom zwołujących się ptaków wodnych albo, zwiesiwszy głowę na krawędź czółna, patrzyła, jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kroplach nocnej rosy... To welon... to płaszcz, a to... suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łąkę, nad którą wnet tworzyło się jezioro mgły srebrnobiałej, pełne płasających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?...

Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczyniała drzeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza trzciną zapalały się światła tajemnicze i blade. Zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słycać było, jakby ktoś szeptał po kępach: – „Hej! hej!... nie wyjdzie stąd dziewczyna!...”.

Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomienie, czarne wielonożne cielsko poczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem: „Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...”.

Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany w ogromną paszczę młyna prąd wody sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnio łódki jak senne dziecko w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki skaczące z gniewu nad bagnem i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał: „Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...”, niespokojny o swoją dziewczynę. Wreszcie dziób łódki uderzał o belkowanie mostu.

⁷ *instrumenta* – daw. forma M.lm, dziś: instrumenty. [przypis edytorski]

Jednej nocy, wyskoczywszy po takiej wędrówce na brzeg, zobaczyła na moście ojca. Stał oparty o poręcz i z uwagą patrzył na siejącą się⁸ wodę. W Małgosi serce zadrżało na myśl, że i on czuwa nad nią, choć taki z pozoru obojętny. Wbiegła na most i przytuliwszy się do ramienia ojca rozmarzona spytała:

– Tatuniu! a kogoście tu wyglądali?...

– Myślałem, że chłopcy ryby kradną! – odparł stary i ziewnął. Potem, podrapawszy się, z wolna pociągnął do chaty.

Nigdy jeszcze Małgosia nie czuła się tak samotną i opuszczoną jak w tej chwili i nigdy mocniej nie pragnęła, aby przecie i ją ktoś kochał. Teraz zdawało się jej, że stolarz z miasteczka, skąpy i brzydki wdowiec, który jadł za trzech, miał płaskie piersi i nogi rozbiegnięte jak widły, że stolarz ten jest człowiekiem bardzo dorzecznym. A już o mielniku, który dzierżawił wiatrak o dwie mile stąd, często się śmiał i w ogóle za głupkowatego uchodził, nie mogła myśleć bez wzruszenia!... Nawet podobne do podługowatych worków z mąką chłopaki jej ojca, ludzie ordynarni i kłótlivi, w obecnym nastroju duszy wydawali się jej osobami posiadającymi dużo zalet, choć kilka miesięcy temu patrzeć na nich nie mogła bez ckliwości⁹.

*

W tym ciężkim położeniu znowu młyn postanowił przyjść jej z pomocą i pewnego dnia pękł we środku z wielkim hałasem... Aż omączone młynarczyki pobladły ze strachu, a Stawiński rzucił czapkę o ziemię. Czym prędzej wstrzymano wodę i poczęto radzić, a nawet zaczepiać wszystkich, którzy przejeżdżali po grobli. W całym domu zapanował bezład. Chłopcy sejmikowali na moście ku zgorszeniu podróżnych. Stary nie chciał jeść obiadu i począł kłąć się na wszystkich świętych, że pewno niedługo umrze, a wieprzki, które mieszkały pode młynem, widząc, że nikt im nie sypie otrębów, kwiczały, jak gdyby nadchodził koniec świata.

Wśród zamętu ze sto razy wymieniono nazwisko kowala Szaraka, a wreszcie jeden z chłopców zaprzął konika do wozu i pojechał w stronę miasta. Małgosię ogarnął taki strach jak onego dnia, kiedy to zaziębiwszy się wyglądała felczera, który miał jej stawiać bańki. Przeczesała włosy, wciągnęła nowe trzewiki i wybiegła przed młyn, który narobiwszy takiego kwasu wszystkim, rozwałał się teraz nad groblą i wyszczerzał zęby – bardzo kontent.

Zaczerniała noc, powiał wiatr chłodny, i dziewczyna musiała iść do swej komory. Ledwie układała się¹⁰, gdy zatrajkotało na dworze i jakiś głos obcy doleciał ją od strony młyna. „O Jezu!...” – pomyślała Małgosia i pędem odziewszy się, dalejże ładować¹¹ wódkę, rozdmuchiwać ogień i grzać kiełbasę z sosem. W kwadrans wszystko było gotowe, czego by rozespana służąca i przez godzinę nie zrobiła.

Tymczasem kowal, obejrząwszy młyn jak baba chorego, przyszedł ze Stawińskim do chaty. Już w sieni zaleciała go woń wereszczaki¹² i aż uśmiechnął się, tak mu było przyjemnie, że go młynarz szanuje i do północy z kolacją czeka. Zdziwił się jednak, zobaczywszy w izbie stół ślicznie nakryty, na nim dymiący półmisek i dwa krzesła naprzeciw siebie, ale gospodyni – ani okrucza!

Zafrasowany młynarz przepił do niego wódkę, zaprosił do jedzenia i sam jadł milcząc, jak to było w jego zwyczaju. Dopiero po kolacji odezwał się:

– Małgoś!... a trzeba by do młyna posłać poduszkę i derkę, bo pan kowal będą nocowali u nas.

⁸ *siać się* – tu: migotać. [przypis edytorski]

⁹ *ckliwość* – skłonność do płaczu. [przypis edytorski]

¹⁰ *ukłaść się* (daw.) – dziś: ułożyć się, położyć się. [przypis edytorski]

¹¹ *ładować* – tu: ustawiać, stawiać na stole. [przypis edytorski]

¹² *wereszczaka* – nazwa kilku daw. potraw kuchni polskiej i litewskiej; może to być: schab duszony w wywarze z czerwonych buraków okraszonym słoniną, zupa jarzynowa na kwasie chlebowym ze słoniną, zupa z kiełbaskami i in., nazwa pochodzi ponoć od nazwiska nadwornego kucharza króla Augusta III Sasa. [przypis edytorski]

Wyszła Małgosia, czerwona, że aż jej wstyd było. Ze złości na siebie miętoszyła fartuch w rękę i patrzyła w ziemię. Ale kiedy podniosła źrenice i ujrzała młodą, wesołą twarz kowala i jego oczy spod czarnych brwi błyszczące, parsknęła śmiechem i wybiegła do sieni wydać rozkazy służącej. Kowal także się śmiał, sam nie wiedząc z czego, a ciągle zmartwiony Stawiński mruczał pod nosem:

– At! czysta koza!... Ludzi rzadko widuje i dlatego taka chichotliwa... Głupie to jeszcze, ma dopiero osiemnaście lat...

Na drugi dzień Szarak o świcie wziął się do roboty, lecz nim wyrzucił kowadło i przy ognisku miech urządził, już mu podano śniadanie. Pierwszy raz w życiu Stawiński przyznał, że jego córka jest dobra gospodyni i dba o gości. Ale młynarskie serce jego nie mogło się oprzeć wzruszeniu, gdy zobaczył, jak Małgosia frasuje się o młyn, jak tam często zagląda i o wszystko zapytuje Szaraka. Mniej mu się już podobało to, że kowal dużo gada w ciągu roboty albo pokazuje takie na przykład sztuki, jak chwywanie gołymi palcami żelaza do białości rozgrzanego. Milczał jednak stary, widząc, że majstrowi pali się robota w rękę i że, choć pobaraszkuje chwilkę, to jak zacznie kuć – aż ziemia stęka!...

Naprawianie trwało parę dni. W ciągu tego czasu kowal i młynarzówna zaprzyjaźnili się bardzo, a wieczory przepędzali stanowczo razem i tylko we dwójkę, bo uspokojony Stawiński począł znowu zajmować się interesami i na córkę mniej zważał. Otóż ostatniego wieczora, siedząc pod chatą na ławce, taką młodzi prowadzili rozmowę, półgłosem co prawda, bo im tak szło najskładniej.

– To pan Józef mieszka o pół mili za miastem, na górcie? – spytała dziewczyna.

– Ale! ale!... na onej, co do łąki idzie, co to jest płot chruściany i trochę drzewin – odparł kowal.

– Jaki by tam sad był! Zaraz bym nasadziła buraków, kartofli, fasoli i kwiatów, żeby to moje! Kowal spuścił głowę i milczał.

– I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przy niej studnia z żurawiem?

– Juźci że ta, ale co nieładna, to nieładna!... Nie ma komu dbać o nią...

– Żeby tak na mnie – mówiła Małgosia – obieliałabym ją jak się patrzy, w okna bym dała firanki i doniczki, w izbie zawiesiłabym wszystkie te obrazy, co mam... Czemu pan Józef tak nie robi, zaraz by mu przecie było weselej?...

Kowal westchnął.

– Ech! – rzekł – żebyśmy tak bliżej mieszkali, to by mi Małgosia zaraz ochoty dodała i poradziła, gdzie co zrobić!...

– Oj! oj!... sama bym nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni...

– Ale na taką dalekość – ciągnął kowal, biorąc dziewczynę za palec – to by pewnie Małgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

– Okrutnie mi się Małgosia podobała, sprawiedliwie mówię!... Psiakość!... jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da... Ale Małgosi nic po tym!... Małgosi to by się jaki rządca patrzył...

– Ja przecie wiem, co pan Józef jest warty! – ofuknęła go dziewczyna odwracając głowę. – O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tym, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

– No – spytał nagle kowal – a poszłaby Małgosia za mnie?

Tchu jej zabrakło.

– Ja tam nie wiem!... – odparła.

W tej chwili Szarak schwycił ją wpół i pocałował w odchylone usta.

– I i... z takimi żartami!... – syknęła obrażona, wyrwała mu się z objęć i wpadła do chaty zasuwając drzwi za sobą.

Tej nocy żadne z nich nie spało.

Na drugi dzień zakrecono ostatnie śruby i podniesiono stawidła. Potok wody lunął z szumem na usychające z nudów koła, które zachwiały się i zaczęły obracać. Młyn szedł doskonale!...

Stawiński, aby się nie zdradzić, przyciął wargi, ale mu ręce drżały z radości. Obejrzał wszystko, nawymyślał młynarczykom, a wreszcie zaprosił kowala po pieniądze do chaty i postawił butelkę miodu.

Kiedy wykładał na stół najnowsze papierki, Szarak drapał się w ucho i markotnie uśmiechał. Młynarz spostrzegł to i zapytał:

- A co, synku, jeszcze ci krzywda, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?
- Za takie wyrychtowanie młyna to by mi się córka od was należała! – szepnął Józef.
- Co?... – krzyknął stary – może wolisz dziewczuchę niż pieniądze?
- Wolę i to, i to...

Stawiński spojrział mu bystro w oczy.

– Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci – rzekł.
– Dłużej mnie niż wam na świecie! – odparł Szarak i pocałował go w rękę. – Bez wyprawy przecie dziewczuchy nie oddacie, a mnie już samemu tak nudno, osobliwie jak zima przyjdzie, że...

Za otwartym oknem mignęła się głowa Małgosi.

– A chodź ino tu!... – zawołał ojciec.

– Ja tam nie pójdę!... – odparła, zasłaniając oczy – niech tatunio sami uradzą!...

Stawiński pokiwał głową.

– Oj, kowalu, kowalu!... – rzekł – nie straciłeś tu, jak widzę, czasu na próżno. Ha! kiedy takie zrządzenie Boskie, to ci oddam dziewczuchę, boś dobry majster i wiem, żeś dostatni... Ino mi nie krzywdź dziecka, bo tego bym ci nie darował...

W kilka tygodni później odjedzono, odpito i odtaińcowano wesele Małgosi z kowalem. Przy okazji pogodziło się ze sobą dwóch od dawna zwaśnionych sąsiadów, a pokłóciło czterech. Jeden z młynarczyków Stawińskiego, podpiszy sobie nieco, przysiągł, że się z desperacji utopi, lecz porzestał tylko na upiciu się dokładniejszym. Natomiast pewien gospodarz, który od dawna miał zamiar wyrzec się wódki, wleciał niechcący w staw i od swej żony otrzymał energiczne napomnienie. Już w pierwszym dniu wesela widłonogi stolarz i wiecznie śmiejący się posiadacz wiatraka, którzy obaj konkurowali o Małgosię, zaczęli rozpowiadać znajomym i nieznanym, jako dziewczyna ma defekt, a jej ojciec bawi się lichwą, skutkiem i czego we młynie straszy i ludziom wykrada zboże z worków. Każdy z zawiedzionych konkurentów upewniał, że nigdy by się z młynarzówną nie ożenił, a tymczasem – państwo młodzi wyjechali do kuźni...

Tu Małgosia święcie dopełniła obietnic. Odnowiła chatę, oplotła ją dzikim winogradem, ozdobiła wewnątrz obrazami i sprzętami i założyła piękny ogródek na wzgórk, co do łąki spadał. Pod jej nadzorem zwiększył się i wyprzystojniał dobytek kowala, chata wyglądała jak dworek szlachecki, a on sam, Szarak, sprawił sobie nowy fartuch skórzany, tak wielki, że by z niego dwóch porządnych warszawiaków wykroił i jeszcze by coś zostało na warszawiankę...

*

Wśród tych zajęć upłynął rok młodemu gospodarstwu. Przyleciały bociany z wiosną, osiadły na prastarym gnieździe na stodółce i jak zaczęły klekotać a klekotać, tak w końcu wyklekotały małego Stasia. W dniu tym kowal zamknął warsztat, dziadek Stawiński przyjechał o czubatą milę drogi oklep¹³ i rzewnie rozplakał się, zobaczywszy tłustego, różowego wnuka, który krzyczał, jakby go ze skóry odzierano, a na rączkach i nóżkach miał tyle dołków, ile kosteczek.

W podobnych warunkach znalazły się, piękne damy zasłaniają okna grubymi roletami, sprawiają sobie do pomocy mamki sztuczne i naturalne i przez miesiąc z okładem odpoczywając w haftowanym negliżu¹⁴, jakby świat zbudowały, przyjmują powinszowania od pań i panów, półgłosem

¹³ oklep – bez siodła. [przypis edytorski]

¹⁴ negliż (z fr.) – swobodny, niekompletny ubiór, zwykle dzienna a. nocna bielizna. [przypis edytorski]

gadających po francusku. Ponieważ jednak Małgosi sztuki te były nieznanne, więc już w czterdzieści osiem godzin wzięła się do roboty, a dziadek za nią chorował – naturalnie z radości. W kilka dni poznał już swego wnuka do gruntu, odkrył w nim wielkie zdolności młynarskie i pierwszy przyznał, że nie zdarzyło mu się widzieć równie mądrego jak Staś dziecka nawet między szlacheckimi!...

A nowo narodzony tymczasem przechodził ciekawą i pełną tajemnic epokę niemowlęstwa, której niejasne wspomnienia odnajdujemy niekiedy w snach, uchylających jakby wrota przedświadomego życia.

Wyobraźcie sobie prostaka, którego w jednej chwili zasypują sprawami całego społeczeństwa. Są tam kwestie artystyczne i przemysłowe, filozoficzne i rolnicze, zbrodnie i cnoty, a między nimi mnóstwo interesów, od których zależy jego własne istnienie. On musi to wszystko uporządkować, sprawy swoje od dzielić od obcych, w jednej godzinie uczyć się praktycznych wskazówek na potrzeby drugiej i nie upaść pod brzemieniem pracy!...

W tym położeniu znalazł się pewnego dnia Staś. Po długim śnie przedbytowym spał na niego uragan¹⁵ wrażeń. Powietrze drażniło mu skórę i płuca, do oczu skakały barwy białe, szare, niebieskie, zielone, czerwone – we wszelkich kombinacjach i odcieniach, a wraz z nimi tysiące form ożywionych lub martwych. Słyszał rozmowy ludzi, łoskot własnej kołyski, bulgotanie gotującej się wody, brzęk much i skomlenie szczeniątka Kurty. Czuł ucisk powijaków, odcienia temperatury zmieniającej się co chwila, a w końcu – głód, pragnienie, senność i ruch własnych członków. Wszystko to, nieuporządkowane, chaotyczne, natrętne, kipiało w głębi jego drobnutki, ledwie budzącej się egzystencji. Nie umiał wskazać, skąd przychodzi głód, a skąd biały kolor albo łoskot młotów bijących w kuźni. Czuł tylko zmęczenie i kwilił, biedak, drżąc z zimna. Jedyną rozrywkę jego stanowił sen, który mu co chwila przerywano, i – możliwość ssania. Toteż ssał jak pijawka, spał i krzyczał, a ludzie dorośli kiwali głowami nad jego niedołęstwem! Słyszycie?... niedołęgą nazywali osobę, która w tak straszny odmet wpadła i tyle spraw obowiązana była załatwić!

W tej epoce Staś nie odróżniał jeszcze swej matki od siebie samego, a gdy mu się jeść bardzo chciało, ssał wielki palec własnej nogi zamiast matczynej piersi. Śmiano się z tego, choć znamy przecież ludzi pełnoletnich i rozumnych, którzy zamiast własnej dwudziestogroszowej laski zabierają cudze dwurublowe kalosze...

Po ciężkiej pracy i kilkomiesięcznych doświadczeniach doszedł Staś do wielkich rezultatów. Udało mu się uchwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kołyski, a nawet między łonem matki i sienniczkiem. W tym czasie był już bardzo mądry. Wiedział, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy koncentrują się wszystkie możliwe hałasy, w drugich – wszelkie barwy i że trzeci punkt służy do ssania.

W kilka miesięcy później porobił jeszcze więcej odkryć. Odróżniał już wypadki złe od dobrych i rzeczy ładne od brzydkich. Dawniej uśmiech i płacz, marszczenie czoła i wyciąganie rąk albo nóg następowały po sobie bez żadnego porządku; posługiwał się nimi jak początkujący grajek klawiszami fortepianu, których dotyka, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Dziś śmiał się tylko na widok matki, która mu jeść dawała; płakał po kąpieli, przeciw której protestowały wszystkie jego dwunożne instynkta¹⁶

¹⁵ *uragan* (daw.) – dziś: huragan; tu: mnóstwo (moc, huk). [przypis edytorski]

¹⁶ *instynkta* (daw.) – dziś popr. forma M.lm: instynkty. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.